

Po XXVIII Przeglądzie Teatrów Małych Form

Tutam jak Lotto

ILEKROĆ piszę czy też, pytany przez innych, mówię o szczecińskim przeglądzie - o kondycji teatru małych form, o jego szansach na przyszłość - sam siebie łapię na powtórzeniach, że tzw. inicjatywy aktorskie to lekarstwo na kryzys sceny, że skromność formalna tych realizacji jest odpowiedzią na zalew sztuki skomercjalizowanej, a długowieczność i zdrowie imprezy są świadectwem na nieustającą potrzebę jej istnienia... No, cóż, powtarzam się. Ale bo też owych kilka banalnych konstatacji nie traci swej aktualności. Przeciwnie, z każdym sezonem nabiera aktualności dodatkowej. Coraz mniej przecież pieniędzy na „teatr ogromny”, a wszechobecna tandeta zaczyna wywoływać reakcję alergiczną. Byłaby tedy pora na małą formę i wielki twórczy niepokój. Byłaby czy jest?

XXVIII PTMF nie dał jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Z jednej strony, owszem, pozostał wierny swym programowym założeniom (a raczej temu, co po latach zwykło się za ów program uważać) - bronił teatru żywego, poszukującego: nie tylko własnych dróg, ale i bliskiego (czasem w sensie dosłownym) kontaktu z widownią. Z drugiej jednak, w mniejszym („Sonata Kreulzerowska” z Teatru Starego) lub większym stopniu („Bliski nieznajomy” z Teatru Za Dalekiego, „Łotrzyce” z Chorzowa) posługiwał się zużytą sztancą. Tą, w której wszelka „kameralność” rozumiana jest czysto zewnętrznie: niech będzie sztuczka małoobsadowa i jakieś wzruszenia plus konflikt na dwie role Osiecka czy Tolstoj - efekt ten sam.

Przenikały się te dwa nurty w Szczecinie, choć między nimi było też sporo przedstawień nie do końca określonych, lub po prostu zagubionych. Niby to samoswoich, oryginalnych, ale w gruncie rzeczy fałszywych - jak choćby legnicka „Mimika...” wg Bogusławskiego (ożywienie Ojca sceny polskiej wypadło w niej tak, jakby - przepraszam za porównanie - ktoś wydobył jego zwłoki i kopniakami przymuszał do uciesznego tańca) czy też „Kubuś Fatalista i jego pan” firmowany przez Teatr STU. Spektakl ten, reżyserowany przez Zbigniewa Zapasiewicza i z jegoż udziałem, bardzo żywo przyjęty przez widownię (drugie miejsce w jej plebiscycie) sprawił mi ogromną przykrość. A im weselej było na scenie, tym większe czułem zażenowanie. Mówiąc najkrócej: nie uchodzi, aby twórca tej klasy, w gonitwie za tanim poklaskiem, produkował rzeczy w tak złym guście. Udawanie zaś, że to wszystko jest pyszną zabawą w teatr, na którą Ja, Wielki, pozwolić sobie mogę - przy równoczesnym tandeciarstwie (obowiązkowe aluzje: Sejm i Anastazja P., najzabawniejsze słowa: sru i dup!) to grzech, jaki wybaczyć można jedynie maluczkim (zresztą, ci

pozornie „maluczcy” potrafią się wybronić: M. Morański otrzymał nagrodę aktorską za rolę Kubusia).

Że gra w teatr może być zrealizowana ze smakiem, poczuciem dowcipu, a równocześnie - scenicznym mistrzostwem udowodnił natomiast łódzki Teatr Powszechny. „Tutam” Schaeffera w reżyserii Jacka Orłowskiego (jeszcze PWST!) i pod opieką artystyczną Mikołaja Grabowskiego (niestety i stety - było to widać) wyróżniło główną nagrodą jury, a i publiczność Grand Prix mu przyznała. Ten spektakl o człowieku uwikłanym w społeczne konwencje, w śmieszność i tragizm swoich ról (znakomita, nadająca całości ważkich znaczeń pointa!) nie byłby wszakże oceniony tak wysoko, gdyby nie aktorstwo Barbary Lauks i Bronisława Wrocławskiego. Zwłaszcza Wrocławski, nie po raz pierwszy udowadniając, że znakomity warsztat w połączeniu z artystyczną, świadomą siebie, osobowością, przynieść może na scenie efekty najwyższej próby - zasłużył sobie na miano Numeru Jeden w tegorocznym przeglądzie. Tak więc „Tutam” niby Lotto (Wrocławski znany jest jako bohater telewizyjnej reklamy tej gry liczbowej - co w spektaklu znajduje swe ironiczne echo) - dał szczęście tym, którzy zagrali. A i tym, którzy byli tej gry świadkami.

Jeśli już o nagrodach mowa. na czternaście konkursowych spektakli znalazło się akurat tyle godnych uwagi, by przewidziane regulaminem nagrody przypadły wszystkim zasługującym na nie w istocie. Ale też dodać trzeba, iż kandydujących do nagród spektakli było akurat tyle i... tylko tyle. Poza podium panowała bowiem pustka. I właściwie żadne przedstawienie nie rywalizowało z nagrodzoną trójką. Choć życzliwie przyjęto „Sakramencką ulewę” (młodzi łódzcy aktorzy sprawnie opowiedzieli ów arcypolski skecz Krzysztonia) i Witkacego po krakowsku (równie młody „Bungo 622”: wartościowe poszukiwania, mniej udane efekty). Młodość była zresztą atutem tegorocznego przeglądu. Młodość nie tyle biologiczna, czy z mniejszego doświadczenia wynikająca - ile twórcza. Rozumiana jako artystyczna aktywność i głód samorealizacji.

W niej było źródło sukcesu (nagroda im. K. Krzanowskiego) lubelskiego Teatru NN, którego piękny, poetycki spektakl „Ziemskie pokarmy” przypominał najlepsze lata scen studenckich. Miała też swój udział w drugiej nagrodzie jury - dla szczecińskiego „Balu u Salomona”. O spektaklu tym napiszę szerzej w oddzielnej recenzji, tu dodani tylko, że tak rozumiana młodzieńczość nie wystarczyłaby, oczywiście, na nagrodę, gdyby przedstawienie nie zwracało uwagi sceniczną wyobraźnią i precyzją realizacji.

Dzieląc plusy i minusy napisać trzeba na koniec, że przegląd był w tym roku cokolwiek letni: nie dlatego, że odbywał się w łące sierpniowym upale. Letni - jakby na zasadzie odwrotności - przez swą umiarkowaną temperaturę emocjonalną. Swoiste wystudzenie, brak sporów, gorących tematów. Ale też taka jest rzeczywistość rodzimego teatru. Tym większym sukcesem PTMF -sukcesem formuły tego przeglądu - była jego publiczność Młoda, liczna i prawdziwie ciekawa spotkania ze sceną.